

Jan Maciejewski: Laudesy. Król przybrany w płaszcz stworzenia

I o tej też godzinie, o której „Król przybrany w płaszcz stworzenia” wyrusza na przegląd swych wojsk, Odyseusz zobaczył Nauzykaę. Jeszcze nie umarły, ale też nie do końca żywy, wyrzucony na brzeg, połamany, poraniony, nagi między skałami. Król bez państwa, ludu, statku ani nawet bielizny. Zdarza się czasem taka chwila podczas choroby, kiedy organizm pyta duszę, czy naprawdę chce to dalej ciągnąć, czy nie wolałaby przypadkiem już się rozstać – pisze Jan Maciejewski w trzeciej części cyklu „Godziny”.

Najwięcej dzieje się wtedy, kiedy pozornie nic się nie wydarza. W ciszy, szarości, tej chwili rozmycia, gdy kończy się panowanie nocy, a dzień jeszcze nie nastał.

Największym wrogiem duszy jest przyzwyczajenie. Wyobraźmy sobie bowiem, że po raz pierwszy przeżywamy brzask – uczestniczymy w całym jego dramacie, wazeniu się, napięciu między życiem i śmiercią. Nie wiemy – bo i skąd miałoby nam to przyjść do głowy – że po nocy w oczywisty sposób musi nastać dzień. Patrzylibyśmy wtedy na niebo jak na pole bitwy. Tak jak zawsze należy się w nie wpatrywać.

Laudesy, poranna modlitwa Kościoła, dlatego właśnie powinna być zawsze odmawiana o brzasku, że opowiada o bitwie zwycięskiej. Z niczego nie można się tak naprawdę cieszyć, jeśli nie zostało okupione cierpieniem, jest oczywistością, braną lekką ręką – jak ulotka restauracji, w której i tak nigdy nie postanie nasza stopa. Nie istnieje triumf niepoprzedzony zmaganiem. A Kościół opowiada w laudesach o aż trzech triumfach na raz.

Przyroda budzi się o tej porze ze snu – raz jeszcze udało się pokonać ciemność i powstać do światła. Poczyna się brzask, niebo szarzeje na wschodzie. I właśnie teraz Chrystus wstaje z martwych. Jego

przebóstwione, ale wciąż przebite stopy kroczą po nawilgającej rosą trawie. I tak jak zmartwychwstaje świat i Bóg, tak też powstać ma – właśnie w tej chwili, żadnej innej – człowiek. Jego dusza ma się przebudzić do światła i życia. Do radości i wdzięczności.

*Laudesy należy odmawiać tak,
jakby stało się na balkonie,
albo lepiej siedziało okrakiem
na płocie czy drzewie,
wiwatując wśród tłumu
zebranego, by powitać króla
wjeżdżającego do miasta po
zwycięskiej wojnie*

Laudesy należy
odmawiać tak, jakby
stało się na balkonie,
albo lepiej siedziało
okrakiem na płocie
czy drzewie,
wiwatując wśród
tłumu zebranego, by
powitać króla
wjeżdżającego do
miasta po
zwycięskiej wojnie.

Jesteśmy tu nie tylko po to, by się cieszyć, ale żeby ukraść dla siebie choćby kawałek, fragment tego zwycięstwa. Tak jak kibicując na stadionie, zdzieramy gardło po strzelonym голу, po to, żeby ukraść dla siebie odłamek chwały należnej strzelcowi. To wielkie i radosne „ja też! Ja też!”, które znamy tak dobrze z innych miejsc, na pełny regulator rozbrzmiewa tylko w laudesach.

Ja również mam w tym udział, jestem częścią tego wszystkiego. Popatrz, mam szalik w tych samych kolorach co ty koszulkę, widzisz, jak nim wymachuję? Może i zajmowałem się czymś innym podczas decydującej szarży, ale teraz jestem tu z tobą, panie i władco. Wznoszę pięść do góry, jakby miała zaraz spaść na głowy wszystkich twoich wrogów. Wydieram się tak, że żaden z nich nie odważy się tu zbliżyć. Chryste, czy pozwolisz mi być częścią Twojego zmartwychwstania? Uszczknąć odrobinę największego ze zwycięstw? Czy jak Ty wyszedłeś z grobu, tak mi będzie wolno wywlec się z grzechów i wad? Laudesy to szalik fruujący w powietrzu, wzbijające się w niebo pięść i okrzyk:

„Ja też, Panie. Ja naprawdę też”.

*Tobie przystoi pieśń, Boże, na Syjonie * i Tobie oddadzą ślub w Jeruzalem.*

*Wysłuchaj modlitwę moją, * do Ciebie wszelkie ciało przyjdzie.*

*Słowa niebożników wzięły górę nad nami, * a nieprawościom naszym Ty będziesz miłościw.*

*Błogosławiony, którego obrałeś i przyjąłeś, * będzie mieszkał w przedsionkach Twoich.*

*Będziemy napełnieni dobrami domu Twego, * święty jest kościół Twój, dziwny w sprawiedliwości.*

*Wysłuchaj nas, Boże, zbawicielu nasz, * nadziejo wszystkich krańców ziemi i na morzu daleko.*

*Ty utwierdzasz góry mocą swoją, przepasany mocą: * Ty wzburzasz głębokości morza, szum nawałności jego.*

*Zatrwożą się narody, i będą się bać, którzy mieszkają na krańcach, od znaków Twoich: * wzejście poranku i wieczora rozweselisz.*

*Nawiedziłeś ziemię i napełniłeś ją, * przeobficie ją ubogaciłeś.*

I o tej też godzinie, o której „Król przybrany w płaszcz stworzenia” wyrusza na przegląd swych wojsk, Odyseusz zobaczył Nauzykaę. Jeszcze nie umarły, ale też nie do końca żywy, wyrzucony na brzeg, połamany, poraniony, nagi między skałami. Król bez państwa, ludu, statku ani nawet bielizny. Zdarza się czasem taka chwila podczas

choroby, kiedy organizm pyta duszę, czy naprawdę chce to dalej ciągnąć, czy nie wolałaby przypadkiem już się rozstać. W momencie największego przesilenia piłka jest po stronie chorującego, nie choroby. Czy naprawdę pragniesz wracać? Ocknąć się z powrotem w swoim łóżku, zobaczyć te wszystkie twarze, wrócić do obowiązków i miejsc, od których uwolniła cię choroba. Czy nie wolałbyś raczej pójść gdzie indziej, na drugi brzeg? To najbardziej subtelne, niedostrzegalne z zewnątrz samobójstwo jest też może najpowszechniejsze. Samobójstwo przez zaniechanie woli życia.

*To najbardziej subtelne,
niedostrzegalne z zewnątrz
samobójstwo jest też może
najpowszechniejsze.
Samobójstwo przez
zaniechanie woli życia*

Jeśli Odyseja byłaby
chorobą, to tamten
brzask na skałach, u
wybrzeży wyspy
Feaków byłby takim
właśnie kryzysem.
Pytaniem
skierowanym do
Odysa przez bogów i

los: królu Itaki, czy chcesz to jeszcze ciągnąć? Nie musisz nic robić, po prostu nie otwieraj oczu. Powieki zresztą są tak ciężkie, że to żaden wysiłek trzymać je zamkniętymi. Każdy najdrobniejszy ruch twojego ciała przypomni ci o tym, jak bardzo jest sponiewierane i poranione. Po co masz się dowiadywać, gdzie znów wylądowałeś, obliczać o ile tym razem wydłużyła się droga powrotna. Lepiej nic nie rób – rozgość się w odrętwieniu jak na królewskim łożu. Ani słowa, ani gestu. Ani drgnienia powiek.

Te pokusy szeptał mu do ucha Posejdon, patrzący na Odysa jak bokser, który ma nadzieję, że leżący na deskach przeciwnik już się nie podniesie, nerwowo pospiesza sędziego, żeby zliczył już wreszcie do dziesięciu. Tymi słowami szumiało morze, drgnienia fal kołysały do wiecznego snu ciało herosa. I gdyby nawet był im posłuszny, ale po otwarciu oczu ukazało im się puste nabrzeże, albo nawet zwykły człowiek zamknąłby je z powrotem. Już na zawsze. Tam jednak stała ona.

Choć „stała” to złe słowo. Takie jak Nauzykaa nigdy nie zamierają w bezruchu. Teraz też, grała w piłkę z przyjaciółkami i służącymi. Radośnie piszczały, kiedy ich szmacianka wpadała do wody, jakby nieudane zagranie było największym z triumfów. Ale w takie poranki, nawet katastrofy potrafią być beztroskie, a co dopiero drobne niepowodzenia. W tej grze nie liczyło się punktów, nie chodziło o to, kto wygra, tylko kogo uda się nią zwabić. Wystarczyło być odpowiednio radosnym i pięknym. Szkląć się jak tafla morza – tak samo jak ona nigdy się nie uspokajając, być w ciągłym ruchu, przyplływach śmiechu i odpływach zawstydzenia. Wystarczyło być Nauzykaą.

Kiedy dwie godziny wcześniej, jeszcze w szarości między nocą a dniem, siedziała na wozie zaprzężonym w muła, wśród stert brudnych ubrań wiezionych nad brzeg morza, wiedziała już co będzie dalej. Do pewnego momentu, nie dalej niż do południa – ale po co wybiegać myślą naprzód. Wiedziały też to jej towarzyszki, wszystkie podobnie rozespane, obudzone przez swą panią w ten sam sposób. Położeniem dłoni na ustach, delikatnym pocałunku w czoło i błyszczącym, jak błyszczyć potrafią tylko oczy siedemnastoletniej dziewczyny, spojrzeniu. W uszach każdej z tych siedmiu panien rozebrzmiało to samo zdanie, wyszeptane ustami Nauzykai, otulone w jej ciepło i blask. „Chodźmy prac, nim wstanie jutrzeńka”.

Wiedza o dalszych losach tego dnia rozchodziła się wśród nich jak zapach. Nie wiedziały, co konkretnie się zdarzy, ale były pewne, że coś czeka na nie przy brzegu. Coś innego, czego jeszcze nigdy nie widziały. I dlatego to pranie brudnych ubrań było jak poszukiwanie zagubionego skarbu. Wszystkie dobrze sobie znane ruchy, mechanicznie wykonywane gesty, rozświeciły się od środka oczekiwaniem. Jasna woda płynęła ze skał, dziewczęta ubijały pranie nogami. Włosy wpadały im do oczu, odgarniały je zewnętrzną stroną dłoni; ciepłe kropelki potu spływały po plecach, wychodząc na spotkanie bryzgającym spod stóp słonym fontannom.

W tym czasie niebo z szarego stało się różowe. Pranie czekało już na pierwsze promienie słońca, rozłożone na piasku do wyschnięcia. Obok niego rozłożyły się dziewczęta. Ich piersi falowały po wysiłku, przyspieszone oddechy układały się w niepokojącą melodię. Jakby

puszczony od tyłu śpiew syren, usłyszany przez przywiązanego do masztu Odyseusza dawno temu. Tamte wabiły na skały, te – wzywały, by się z nich podniósł. To samo „chodź, no chodź już do nas”, tyle że w przeciwnym kierunku.

Usłyszał, ale nie uwierzył. To na pewno śpiew jak każdy inny, jak tyle poprzednich; za mało, żeby dalej żyć. Kolejny raz – który to już? – podnieść się z ziemi i ruszyć dalej. Potrzeba było czegoś więcej niż śpiew, wiedzieli to zarówno on, jak i one. A już zwłaszcza Nauzykaa. Muszą się spieszyć, niebo z różowego zaczyna być złote, brzask powoli mija, a wraz z nim ulatnia się tajemnica, niepokój, czy – jak kto woli – ciekawość. Z Odyseusza uchodzi chęć do życia. Trzeba go zatrzymać; gdziekolwiek, kimkolwiek jest. Podnoszą się więc z ziemi, żeby i on mógł się podnieść.

W rogu wozu, którym przyjechała z nimi góra ubrań do wyprania, leży szmaciana piłka. Jedna z dziewcząt podnosi ją i rzuca w tył głowy przyglądającej się ruchom fal Nauzykai. Wytrąca ją z równowagi i zaprasza do gry. Wchodzą po kostki do wody, zawiązują doły białych sukni w węzeł tuż nad kolanami. Śmieją się – tym właśnie śmiechem, który mrozi krew w żyłach zakochanym i niepewnym siebie chłopakom. Bo nie wiadomo – nikomu, z jego właścicielkami na czele – o co w nim chodzi. Zaczepia, czy wyśmiewa? Aprobuje, a może jednak odrzuca? Ten śmiech nie ma celu ani adresata. Jest sygnałem wysyłanym w przestrzeń jak mignięcia latarni morskiej pośród nocy.

Chłopaku, mój dumny i przestraszony przyjacielu, nie bierz go nigdy do siebie. Ale pamiętaj też, że nie wolno ci go zlekceważyć. Kiedy go usłyszysz, nie popadaj w dumę ani rozpacz; zrozum, że jesteś jak samotny marynarz w ciemną noc, a ktoś z dalekiego brzegu wysyła ci sygnał. Że jesteś Odyseuszem, poranionym i umierającym pośród skał i podstawiane są ci właśnie pod nos sole trzeźwiące, do twoich żył zostaje zamontowana kroplówka z wolą życia w płynie. Jeśli już jakoś koniecznie musisz nazwać, ubrać w słowa ten dziewczęcy śmiech, to myśl o nim jak o zachęcie. Tylko że nigdy właściwie nie dowiesz się do czego. Wiedz tylko, że jakoś musisz na nią odpowiedzieć. Pieśnią, hat-trickiem w arcyważnym meczu, a czasem tylko otwarciem oczu.

Zbożny lęk przejął Odyseusza na widok białych, nagich ramion Nauzykai. Strach, od którego można tylko paść na kolana, albo podnieść się ze skał.

*Nie wystarczy stracić statku,
ludzi i nadziei. Trzeba jeszcze
zostawić po drodze swoją
historię*

Posejdon zagryzł
wargi aż do krwi. Jego
przeciwnik podniósł
się po kolejnym
knock-downie,
straszny i piękny,
ubrany tylko w

cienką warstwę morskiej soli. Nauzykaa i jej siedem pięknych panien już się rumienia, odwracają wzrok w poszukiwaniu okrycia i oliwy dla swego znaleziska, ich dzieła i przekleństwa. Posejdon obmyśla już nową kombinację ciosów. A ten, który otwarł oczy kroczy teraz chwiejnym krokiem wzdłuż brzegu. Patrzy na spływające po ramionach córki króla Feaków złote pasma mokrych włosów, jej białe ramiona i odsłonięte uda, czuje, jak wraca w niego życie. Wracają pragnienie i tęsknota, wściekłość i strach. Teraz jednak chciałby przede wszystkim coś zjeść. Paść do kolan dziewczyny, która obudziła go do życia, napić się nalanego przez nią wina. A potem opowiedzieć, wszystko – pierwszy i ostatni raz.

Nie wystarczy stracić statku, ludzi i nadziei. Trzeba jeszcze zostawić po drodze swoją historię. Złoży ją właśnie tutaj, na wyspie Feaków. Zostawi im jak dar albo pułapkę, to się dopiero okaże. Ale dotrze na Itakę z pustymi rękami, tylko to się teraz liczy. Przed Penelopą nie otworzy ust, ona będzie miała swoje opowieści, tych Odysa będzie się tylko domyślać. I tak będzie dobrze.

A Posejdon będzie słuchał jeszcze uważniej niż rozdziawiający z wrażenia gęby Feakowie. I im większe będą krzywdy Odysa, tym bardziej będzie się stawał zaciekle w swym gniewie. Poranek należy do króla Itaki, ale dzień jest wciąż młody. Do końca walki zostało sześć rund.

